

80 teatrwydarzenie

Sceny z przedstawienia
„Bitwa pod Grunwaldem”

Kompleks polski

„Bitwie pod Grunwaldem” z warszawskiego Studia daleko do najlepszych przedstawień Marka Fiedora. Niedoświadczony spektakl działa jednak jak kij wbity w mrowisko

Drugie przedstawienie „Bitwy...”. Mija godzina i 40 minut, scena zostaje pusta. Z początku cisza, po chwili wstępnymi oklaskami. Aktorzy wychodzą do ukłonów, brawa nieznacznie przybierają na sile. Rozglądam się wokół. Ktoś nie klaszcze wcale, starając się zrobić jak najbardziej zniechęconą minę. Już widzę tytuły recenzji, z mocno wybitymi hasłami o teatrze antypolskim, w którym szarga się mundur i sztandary, a frazy z „Wyzwolenia” recytuje, siedząc na obozowym kiblu. Przypomina się gehenna z „Do piachu” Tadeusza Różewicza. Najpierw opór przeciw prapremierze w warszawskim Teatrze Na Woli i upór Tadeusza Łomnickiego, od początku widzącego w utworze arcydzieło. Potem burza wokół telewizyjnej inscenizacji Kazimierza Kutza. No bo się nie godziło – polscy partyzanci, AK-owcy, jedli, pili i rzygali, szli na „bandziorkę” i gziłi się z dziewczuchami. Niewielu dostrzegalo oczyszczający wymiar autobiograficznego dramatu poety: I wtedy, i teraz, wolimy, kiedy mówi się o nas na koturnach.

Nowe przedstawienie Marka Fiedora nie dorównuje skalą i klasą wielkiemu spektaklowi Kutza. Nie ta czystość, nie to aktorstwo, wreszcie zbyt wiele rozwiązań dyskusyjnych, scen puszczonech, fałszów, gdy idzie o rytm widowiska. Wszystkie te mankamenty nie umniejszają jednak rangi wydarzenia. Nie, rzecz nie w tym, że ktoś narreszcie sięgnął po zapomnianą niesłuszną twórczość Tadeusza Borowskiego. Zdecydowanie istotniejsza jest postawa Fiedora. Opowiadanie autora „Pożegnania z Marią” nie służy mu bowiem do efekciarskiej rozprawy z polskimi wadami i słabościami. Nie jest celem reżysera epatowanie polską brzydota, rozdrapywanie ran dla samego ran rozdrapywania. Bowiem wraz

z „Bitwą pod Grunwaldem” powraca teatr pamięci. Wreszcie nikt nie udaje, że historia służy wyłącznie do malowania na scenie albo ekranie efektownych fresków ku pokrzepieniu serc. Nareszcie znalazł się artysta, który nie odbębnia przed z gruntu nieprzygotowaną publicznością kolejnej lekcji jak w liceum. Powie ktoś, że spektakl w Studio będzie niezrozumiały dla tych, co nie znają jego literackiej podstawy, nie wiedzą, czym były obozy dla dipisów, nie słyszeli o losach dawnych więźniów po wyzwoleniu, a przed rzeczywistym oswojeniem. Nie byłbym w takich sądach zbyt zdecydowany. Może bardziej wierzę w widzów i w formułę przedstawienia Fiedora. Widzę w niedoskonałej „Bitwie pod Grunwaldem” próbę sprostania opowieści zakorzenionej w polskiej literaturze powojennej. Jej osią jest chęć zdefiniowania polskiego losu, odpowiedzi na pytanie, czy w gorsecie martyrologii nie idzie się udusić. Na koniec zostaje pytanie o nie tylko polski oportunizm i zagospodarowanie najbardziej kulawej wolności.

Marek Fiedor opiera się pokusie zżerającej od dawna polski teatr: Nie chce aktualizować za wszelką cenę, nie stawia nachalnych znaków równości między tym, co wtedy a dniem dzisiejszym. Bardziej interesują go mechanizmy historii i pobudki ludzkich zachowań. A że u Borowskiego i w scenicznej adaptacji jego opowiadania bilans wypada dla nas fatalnie – to już zupełnie inna sprawa.

Naturalistyczny teatr Fiedora nie rości sobie praw do oceniania bohaterów. W większym stopniu przypisuje sobie zadanie ich obserwacji, dokumentowania obozowych zdarzeń i zachowań. Autora warszawskiego przedstawienia interesuje bezwarunkowa chęć przeżycia, wyjścia z obo-

zu bezpieczeństwa „suchą stopą”, na koniec odnalezienia swego miejsca w przysłym życiu. Tadeusz (niepełna jeszcze rola debiutanta Krzysztofa Skoniecznego) to chłopak, który odnajdzie się w każdych warunkach, do każdej sytuacji dostosuje. Nawet za cenę konformizmu, przynikania oczu na mniejsze i większe świństwa, a czasem dokładania do nich ręki. Szansą na zmianę perspektywy staje się ucieczka z Żydówką Niną (Monika Obara). Dziewczyna zginie od kul amerykańskich żołnierzy. Tadeusz żyć będzie dalej, znowu pomyśli tylko o sobie.

Widać wyraźnie w obozowych scenach „Bitwy pod Grunwaldem” nieokrzesanie, drapieżność, jakby aktorzy zdawali sobie sprawę, że są tylko podglądani i nie muszą bronić swoich bohaterów. Grają raz lepiej, raz gorzej, ale z czasem – ma niemal pewność – nabiorą pewności, połączą ostrość skandowanych często fraz z pełnym zrozumieniem ich znaczenia. Już teraz spektakl Fiedora wyróżnia się pracą zespołu, w którym nie ma gwiazd i epizodystów. Gdy przedstawienie dojrzeje, być może mocniej wybrzmi wielki temat prozy Borowskiego – naznaczenie cierpieniem, pamięć o traumie obozu, a jednocześnie uporczywe czepianie się życia. To w przedstawieniu w Teatrze Studio na razie zostało ledwie naszkicowane.

Ostatnie przedstawienia Marka Fiedora, „Wyszedł z domu” Różewicza z poznańskiego Teatru Polskiego i „Bitwa...” właśnie, układają się nieoczekiwanie w awers i rewers tej samej historii. Tamto mówiło o przekleństwie pamięci w opresywnym społeczeństwie. Tym razem reżyser przywraca pamięci najważniejsze miejsce. Być może, tak jak mówił w wywiadach, pamięta „Pograżonych i ocalonych” Primo Levięgo. Oglądana niedługo po tej wstrząsającej lekturze „Bitwa pod Grunwaldem” przedstawia sceniczny wariant dramatu ocalonych. Cóż z tego, że to dzisiaj takie niemożliwe. **Jacek Wakar**

BITWA POD GRUNWALDEM
wg Tadeusza Borowskiego reż. Marek Fiedor
Teatr Studio w Warszawie
Premiera: 12 stycznia